

Nazywam się Ryszard Merkel. Urodziłem się 9 VIII 1925 r. we Lwowie. Mój ojciec był kolejjarzem, pracował w warsztatach kolejowych we Lwowie, matka Leonarda była *położną*. Miałem siostrę Urszulę starszą ode mnie o 4 lata.



We Lwowie mieszkaliśmy właściwie od niepamiętnych czasów. Ojciec w 18 roku walczył w obronie Lwowa i Kresów Wschodnich do 1920. Ze strony matki brat zginął pod Zadwórzem, również drugi brat matki był obrońcą Lwowa. Zmarł w 1938 r. i leżał na Cmentarzu Obrońców Lwowa.

Mieszkaliśmy we Lwowie przy ul. Janowskiej 50 na parterze. Zajmowaliśmy mieszkanie składające się z 2 pokoi i kuchni. Po ukończeniu szkoły podstawowej zapisałem się do XII Gimnazjum na ul. Szumlańskich, gdzie ukończyłem I klasę. Po wkroczeniu wojsk radzieckich Sowieci przemianowali szkoły na 10-latki. W związku z tym, że bliżej miałem do szkoły podstawowej, wróciłem do niej i poszedłem do 7 klasy. To była polska szkoła z tym, że niektóre przedmioty, jak np. historię wykładali w języku ukraińskim. Wśród nauczycieli byli też Rosjanie. Jeden uczył języka rosyjskiego. Nawiasem mówiąc zajmował u nas z całą rodziną jeden pokój, gdy przenieśliśmy się na Lewandówkę. Dość przyjemny pan, ale poziom kultury jego rodziny był dość niski. Kiedyś jego żona przyszła do mojej mamy. Ubrała się w jakąś nowo kupioną sukienkę i przyszła się zaprezentować. Był taki zwyczaj, że ona zawsze mówiła: "Madame Merklowa smotritie kakaja krasna". Ja również w tym czasie byłem w pokoju i zauważyłem, że coś tu nie gra. Była to sukienka, która miała wycięty dekolt na plecach, a ona ubrała ją odwrotnie. Matka dopiero zwróciła jej uwagę, że to się odwrotnie nosi, czym ona się niezmiernie zdziwiła, bo jak może być dekolt z tyłu. Oni wzięli od nas jeden pokój, bo wtedy nie było dyskusji, trzeba było przyjąć i koniec. W małym pokoiku byli oni i jeszcze dwoje małych dzieci.

Dyrektorem był nasz dawny nauczyciel przez jakiś czas. W naszej szkole byli koledzy i koleżanki, którzy uciekli przed Niemcami z ter-

nów zachodniej Polski- z Poznańskiego, z Krakowskiego. Po kilku miesiącach przestaliśmy tych kolegów widzieć, dowiedzieliśmy się, że zostali aresztowani i wywiezieni wraz z rodzicami do Związku Radzieckiego. W tym czasie były również aresztowania policji, wojska (oficerów, a nawet podoficerów) wyższych urzędników, przede wszystkim sądowych i z administracji miasta. Ojciec był ślusarzem, pracował na kolei-kolejarze byli potrzebni, bo trzeba było przestawiać tory z wąskich na szerokie, więc nimi się nikt nie zajmował.

Informacje o wydarzeniach uzyskiwaliśmy z radia. Mieliliśmy radio zrobione przez mojego ojca, bo radia lampowe kosztowały i w tym czasie były raczej nieosiągalne. Informacje z tego radia były wymieniane z kolegami, tak że mniej więcej wiedzieliśmy, co się dzieje na Zachodzie.

W czerwcu 1941 r. widoczny był niepokój wśród Rosjan. Chodziło to z bronią w rękę, a przed wkroczeniem Niemców to już w ogóle był horror, bo to towarzystwo jeździło samochodami, z karabinami skierowanymi na obie strony w kierunku chodników, w kierunku ludzi.

Armia niemiecka-to co ja widziałe osobiście-wchodziła dosyć spokojnie nie było tego napięcia, jak przy ucieczce radzieckiej armii. Ludność polska zachowywała się raczej obojętnie, nie okazywała ani radości, ani strachu, z ciekawością patrzyliśmy na Niemców, co będzie z tego wszystkiego. Ukraińcy raczej wiwatowali, bo z armią niemiecką wchodziły oddziały ukraińskie. Jak zobaczyli tych swoich esesmanów, to wiwatowali.

Rosjanie wychodząc ze Lwowa usiłovali zatrzeć ślady swojej działalności. Na ulicy Kazimierzowskiej było stare więzienie, dawny budynek klasztoru św. Brygidy, popularnie zwane "Brygidkami". Przed wyjściem z miasta Rosjanie zamordowali wszystkich więźniów, piwnice były pełne trupów. Samo więzienie podpalili, tak że spaliło się w całości. Ludność od razu starała się przeszukać to więzienie, czy ktoś jeszcze żyje. Niestety piwnice z trupami były zamurowane. Wyciągało się to wszystko na zewnątrz. Była to dosyć ciężka sprawa, bo po pożarze zawalone

były stropy z górnych pięter. Niesamowity widok roztaczał się dookoła tego więzienia. Byłem tam, bo z całego Lwowa schodzili się ludzie, żeby to zobaczyć. Większość zresztą miała kogoś aresztowanego ze swojej rodziny, każdy szukał. Podobna historia była z drugim więzieniem na ul. Łąckiego. Tam w piwnicach było masę trupów, z tym że to więzienie nie było spalone. Pod tym więzieniem nie byłem, widziałem jedno i to mi wystarczyło. Z mojej rodziny nikt nie był aresztowany, nikt nie zginął. Poszedłem raczej z ciekawości. W tym więzieniu zginął ojciec mego późniejszego kolegi Stanisława Kota, na co miał dokumenty, które wyciągnął z piwnicy. Niemcy ogłosili potem liczbę ofiar, ale uszło to mojej uwadze.

W czasie okupacji niemieckiej uczyłem się, przerabiałem materiał potrzebny do matury. Uczęszczałem na tzw. Kursy Przygotowawcze do Szkoły Technicznej, gdzie przerabialiśmy prócz technicznych przedmiotów również materiał gimnazjalny. Szkoła ta mieściła się przy ul. Piekarskiej w dawnym klasztorze OO Zmartwychstańców. W klasztorze tym na parterze mieściła się samochodowa jednostka niemiecka, natomiast na I piętrze była nasza szkoła. Na nasze piętro musieliśmy przejść schodami przez parter, gdzie byli Niemcy. Kiedyś w czasie przerwy jeden z naszych kolegów stojąc na klatce schodowej patrzył z góry i akuratnie zjawił się tam Niemiec, a on napluł mu na czapkę. Co się później stało trudno opowiedzieć - rozpętała się burza. Niemcy strzelali na oślep do góry, zaczęli do nas biec. Nie było jak uciekać. Wskoczyliśmy przez okno z I piętra na trawnik od strony podwórza. Młodzi byliśmy, to uszło wszystko jakoś bezkarnie. Uciekaliśmy, Niemcy za nami strzelali. Ja uciekałem w kierunku Cmentarza Łyczakowskiego. Zaraz niedaleko naszej szkoły była ślepa uliczka, która wchodziła w obiekty Akademii Medycznej. Biegając tam gwałtownie skręciłem w prawo i naderwałem sobie ścięgno u jednej z nóg. Dopiero jak wpadłem w krzaki i tam się schowałem, zobaczyłem, że noga w oczach puchnie. Z tą nogą udałem się na

drugi dzień do szpitala. Czekalem kilka godzin na zrobienie zdjecia, bo akuratnie z frontu wschodniego nadeszly transporty rannych Niemców no i przede wszystkim ich trzeba bylo załatwić. Nie doczekałem się i wróciłem do domu. Do szkoły oczywiście nie poszedłem, wiadomo, jakie byłyby konsekwencje. Musiałem pracować. Niedaleko były magazyny wojskowe z olejem, z ropą i tam pracowałem przy budowie baraków. Pracowałem tam kilka miesięcy. Stawki były bardzo niskie. Majstrem był Ukraińiec. Kiedyś podsłuchiłem rozmowę jego ze swoim kolegą na temat Ukrainy: "Co to za Ukraina jest- polski hroszi, nimecka władza". To były takie momenty, gdy człowiek się trochę podnosił na duchu, że jednak nie jest tak źle. Ta praca mi nie odpowiadała, bo Niemcy wyżywali się na nas. Bardzo często przy wyjściu, na bramie rewidowali każdego z nas i bardzo często tam bez dania racji ci, którzy kradli ale i ci, którzy nie kradli dostawali pałami czy kolbą na "do widzenia".

Stamtąd się zwolniłem i poszedłem do pracy na kolei. Pracowałem w tzw. warsztatach regeneracyjnych. Wytwarzaliśmy rozjazdy tzw. angielskie na metalowych podkładach. Byliśmy potrzebni, więc nas nie ruszali, mieliśmy dobry ausweis. Pracowałem tam do 1944r. Nie miałem możliwości uczestniczyć w tajnym nauczaniu, pożyczalem tylko książki i czytałem w domu.

W szkole koło naszego domu mieścił się oddział organizacji Todt. U nas zakwaterowali jednego z sierżantów tej organizacji. Zabrali nam jeden pokój, ten sam, w którym przedtem mieszkał ten nauczyciel ze swoją rodziną. Z Niemcami sąsiadami nie mieliśmy kłopotów, zachowywali się dosyć przyzwoicie, tyle że bliskie sąsiedztwo przyjemne nie było.

Ciężko było z wyżywieniem. Moja matka jeździła w kierunku Lublina. Tam było takie zagłębienie żywnościowe- mąkę, tytoń, czasami i mięso jakieś się dostało. To oczywiście wszystko było z narażeniem życia, bo przy wjeździe do Lwowa na dworcu Kleparów zwykle były łapanki. Wyrzucali wszystkich z pociągów, rewidowali, sprawdzali, co się wiezie.

W 1943 r., gdzieś w lipcu spotkałem się ze starszym kolegą. Zadał mi pytanie, co bym zrobił, gdyby ktoś mi zaproponował udział w walce z Niemcami. Odpowiedź była wiadoma. Po około 2 tygodniach spotkałem się znowu z tym kolegą, już na jego zaproszenie i zostałem wciągnięty do Armii Krajowej. Później po jakimś tygodniu złożyłem przysięgę i zacząłem pracować w konspiracji. Cała nasza "piątka" składała się z moich kolegów szkolnych. Dowodził nami ten kolega, który mnie wciągnął pseudonim "Kruk". Było tam dużo Ryszardów—oprócz mnie: Ryszard Krzyżanowski, Adolf Smuk, Ryszard Raczyński i Ryszard Kargul. Naprzód miałem pseudonim "Rys", ale że jeden z kolegów też był "Rysiem" zrobił się bałagan i zmieniłem pseudonim na "Wojtek". Zaczęło się to wszystko od szkolenia, przecież nie mieliśmy pojęcia o wojsku. Moi koledzy byli z tego samego rocznika, prócz dowódcy. Szkolenie taktyczne, zapoznanie się z pistoletem, karabinem, automatem trwało dosyć długo. Poza tym mieliśmy poszczególne zlecenia np. wywiadowcze—obserwować różnych ludzi m.in. jednego z sąsiadów, który należał do SD. Paradował on w mundurze po naszym osiedlu. Jednym z naszych nielicznych zadań było przejrzeć go trochę. Mieliśmy stale prasę, na to nie mogliśmy narzekać. Na terenie Lwowa nie braliśmy udziału w żadnych akcjach bojowych. W 1944 r. dostaliśmy rozkaz, żeby nie spać w domu. Widocznie mieli doniesienia, że coś nam grozi. Dwóch kolegów—Ryszard Raczyński i Ryszard Kargul nie zastosowało się do tego i niestety w nocy zostali aresztowani, ślad po nich zaginął i nie wiedzieliśmy co się z nimi dzieje. W związku z tym naszą, pozostałą trójkę musieli wycofać. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że ich zawieźli na Łąckiego. Potem wywozili ich prawdopodobnie do Oświęcimia, bo pociąg jechał w kierunku Krakowa. Już po wojnie rozmawiając z Ryszardem Kargulem dowiedziałem się, że w czasie jazdy pociągiem padła propozycja, żeby uciekać. W związku z tym wyrwali z podłogi deski i uciekali w czasie jazdy, na zakrętach, gdy pociąg zwalniał. Wskakiwali pojedynczo pod pociąg. Ryszard Raczyński

bał się i powiedział, że nie wyskoczy. Pojechał dalej i słuch po nim zaginął. Już nigdy nie słyszeliśmy o nim ani my, ani jego rodzina.

Przerzucili nas do Buczał około 30 km od Lwowa na południowy zachód. Ludzie z oddziału AK już czekali na nas, wiedzieli, że przyjedziemy. To był oddział wielkości kompanii. Dowódcą był ppor. rezerwy 5 PAŁ we Lwowie ps. "Brytan". Naszym zadaniem była ochrona Buczał przed Ukraińcami i przyjmowanie zrzutów. Przyjeliśmy 3 zrzuty. Sama akcja zrzutów była dosyć emocjonująca, ponieważ 1,5 km od miejsca zrzutu był majątek, gdzie stacjonowali Niemcy. Teren podmokły ze stawkami w okolicach wsi Chłopy ~~był oświetlony~~^{oświetlaliśmy} i tam nadlatywały, przeważnie wieczorem, samoloty. Często z tego majątku Niemcy strzelali, ale pociski nie dochodziły do nas. Zrzucone pojemniki oddzielaliśmy od spadochronów i jak najszybciej zatapiailiśmy w stawach. Dopiero po kilku dniach, jeśli nic się nie działo nikt nie chodził i nie szukał wyciągaliśmy te pojemniki ze stawów (były hermetycznie pozamykane) i braliśmy się do rozdzielania tego wszystkiego. Przeważnie były tam steny, pistolety, thompsony, amunicja angielskie "battledressy" i buty, bo w takich warunkach wszystko z nas leciało, nie mieliśmy się w co ubrać. Układaliśmy w szopach to wszystko. Później chłopcy wywozili to furmankami. Na początku sierpnia przeszliśmy do wsi Malinów około 15 km od poprzedniego miejsca pobytu. Tam byliśmy wyłącznie na ochronie wsi. Dookoła były wsie ukraińskie. Był napad ^{SUSUŁÓW} na nas, ale go odparliśmy. Raz poszliśmy przez ukraińską wieś na patrol. W okolicy byli już Ruscy. My poszliśmy nad Dniestr, do mostu, zresztą już zniszczonego. Niemcy pilnowali tego mostu, mieli 2 cekaemy. Gdy nadeszliśmy, Ukraińcy nie wiedzieli, co się dzieje, widzieli tylko, że idzie duży oddział ludzi z opaskami, dali więc znać Niemcom, którzy otworzyli ogień do nas. Na szczęście Dniestr płynął tam w jarze, między wałami, więc schowaliśmy się za wał, tam chwilę przeczekaliśmy zanim ochłonęliśmy i dopiero otworzyliśmy ogień. Jako że nasze uzbrojenie było słabe, byliśmy uzbrojeni tylko w steny, nie mieliśmy żadnej szansy

podejmować walki z nimi, chodziło tylko o wycofanie się stamtąd. W trakcie wycofywania, gdy zdawało mi się, że jestem ostatni, zauważyłem, że pod kopiec siana leży jeden z kolegów i nie rusza się. Spytałem się go, co mu się stało. On mi odpowiedział, że został ranny w nogę, w udo. Zawołałem jeszcze jednego z kolegów Dolka ^{Smuka} Szulea, kolegę ze szkoły, żeby tamtego wyciągnąć. Wyciągnęliśmy go spod ostrzału chwytając go za ręce. Doprowadziliśmy go do lasu ciągnąc po ziemi, przez rowy, więc infekcja była muirowana. Niedługo po tym spotkaliśmy we wsi Malinów patrol rosyjski. Zachowywali się całkiem przyzwoicie, nie było z nimi żadnych tarć. Na pożegnanie nasz dowódca dał im "piata", poinstruowawszy ich jak się tym posługiwać. Poszli sobie i właściwie ich więcej w Malinowie nie widzieliśmy. Po pewnym czasie przyszedł rozkaz, żeby opuścić Malinów. W okolicy zaczęli Rosjanie działać swoją władzę wprowadzać, więc my już tam staliśmy się niepotrzebni. Nocą przeszliśmy do Buczał naszego pierwszego miejsca pobytu i tam nastąpiło złożenie broni i rozwiązanie naszego oddziału. Broń ta została gdzieś zakopana, zakonspirowana, bo stale mieliśmy nadzieję, że będzie ona jeszcze kiedyś potrzebna. Rano rozeszliśmy się. Między nami byli ludzie z różnych miast i wsi, każdy poszedł w swoim kierunku. Nasza paka ze Lwowa, z Lewandówki poszła razem. Doszliśmy do szosy Lwów-Przemyśl i przyjechaliśmy do Lwowa wojskowym samochodem rosyjskim, który dowiózł nas do rogatek Lwowa.

Lwów już wcześniej rozpuścił Armię Krajową. Był spokój-o tyle, o ile ale sytuacja była napięta. Po dotarciu do siebie, jeszcze nie wszedłem do domu, gdy zobaczyłem, że szkoła przy której mieszkaliśmy została spalona. Okazało się, że, tam właśnie w tej szkole usadowili się Akowcy w chwili, gdy Niemcy wycofywali się już ze Lwowa. Później jednak Niemcy wrócili i wywiązała się z nimi walka. Niemcy spalili tę szkołę zupełnie. Nasi przeżyli w piwnicach, które nie zostały popalone. Pod naszym oknem znaleziono mojego kolegę Adamka zastrzelonego w czasie

walk o tę szkołę prawdopodobnie przypadkowo, bo siedział oparty o mur z pistoletem przy twarzy.

We Lwowie zaistniała nowa sytuacja. Sowieci brali do wojska. Nie bardzo chcieliśmy iść do tego wojska, a więc trzeba było szukać jakichś sposobów uniknięcia tego. Ja i moi koledzy poszliśmy znowu do pracy na kolei, bo kolej dawała tzw. "bronirówkę", czyli taki dokument, który nas chronił od wojska do końca wojny. Zacząłem pracować w starych zakładach. Sytuacja była niewesoła, bo aresztowania zaczęły się nasilać. Doszliśmy więc do wniosku, że nie ma na co czekać we Lwowie i trzeba ze Lwowa uciekać. Granicy nie można było przejść, bo była obsadzona, więc skorzystaliśmy z tego, że przyjechał do Lwowa gen. Strzelecki, który przeprowadzał ochotniczy zaciąg do LWP. Umówiliśmy się wszyscy, że pójdziemy się zapisać. Nie wolno było tego mówić w pracy, bo by nas nie puścili. Wszyscy zgromadziliśmy się pod "wojenkomatem". Przychodzimy tam i okazuje się, że do zapisania się do tego ochotniczego zaciągu musi być pozwolenie zakładu pracy. Teraz jesteśmy w kropce, co robić. Tu nie poszliśmy do pracy, to już był tzw. "prohuł", groził nam sąd, a tu nas nie przyjmują. Mieliśmy jeszcze te konspiracyjne nawyki i doszliśmy do wniosku, że trzeba podrobić podpis. Był tam taki ruski kapitan, który brał od nas wszystkie dokumenty "wremiennie udostawlerenie" tzn. tymczasowe zaświadczenie tożsamości i w górnym lewym rogu stawiał datę i swój podpis zbliżony do litery "J" w kształcie ósemki, za pomocą czerwonego ołówka. Zebraliśmy się więc wszyscy - było nas coś 7 czy 8 i postanowiliśmy ćwiczyć ten podpis i sprawdzać, czyj podpis będzie najlepszy. Ten, którego podpis będzie najlepszy, będzie to podpisywał. Kupiliśmy też sobie czerwone ołówki. Wypadło na to, że mój podpis jest najlepszy, bo ja m.in. takie "J" pisałem, więc mnie to najłatwiej przyszło. Wzięliśmy na wzór dokumenty jednego z kolegów, który miał to podpisane, szybko podpisaliśmy i stanęliśmy do kolejki. Pierwsi poszli

i w porządku. Ale wmieszał się między nas Stanisław Kot, który wcześniej stwierdził, że on sobie sam te dokumenty podpisze. Tę bumażkę brała od nas jakaś Rosjanka. Coś ten podpis Kota jej nie pasował, porównała z poprzednim, z tym moim - nie ten podpis. Poszła od razu do tego kapitana. Zaraz pojawiło się dwóch ze sztykami, Stasia zabrali do tyłu i tylko słyszeliśmy krzyki: "kto wam eto podpisał". Błady strach padł na nas, co będzie dalej?, czy Stasiu powie czy nie powie. Ja stwierdziłem: "wy sobie róbcie, co chcecie, a ja jednak idę z tym swoim. Poszedłem, przeszedłem i za mną wszyscy inni przeszli. Po wyjściu z "wojenkomatu" nie wiedzieliśmy, jakie będą dalsze losy Stasia Kota, czy oni go tam zatrzymają, czy puszczą. Obstawiliśmy wszystkie bramy i patrzymy, co będzie z tego. Po około pół godzinie wychodzi Stasiu, ogląda się na wszystkie strony, a nas nie ma, bo już mieliśmy zapowiedziane, że nikomu nie wolno się wychylać, bo nie wiemy, czy za nim ktoś nie idzie. Stasiu poszedł sam do domu. Po jakimś czasie, gdy zauważyliśmy, że nikogo nie ma za nim, jeden z nas podszedł do Stasia z tyłu i zaczął rozmawiać o tym, co się stało. Dopiero na kolejnej ulicy złączyliśmy się. Okazało się, że Stasiu ma fantazję i naopowiadał, że jego rodzinę Niemcy zabili i on chce bić Niemców, choć jest za młody. Jakos go puścili, chociaż rok mu brakował. Umówiliśmy się po drodze, że w domu nie będziemy już nocować, bo mogą do nas przyjść, jako że nie zjawiliśmy się w pracy. Więc znowu po różnych ciotkach, babkach nocowaliśmy aż do wyjazdu. Wyjazd był z kina "Roxy" na ul. Gródeckiej, tuż przy Dworcu Głównym. Myśleliśmy, że zaprowadzą nas na dworzec, bo mieliśmy jechać do Lublina. Tymczasem wyprowadzili nas stamtąd i prowadzili Gródecką w dół w kierunku "Brygidki". Minawszy "Brygidki" prowadzą nas na Zamarstynów, a tam kryminał czynny jest. Już byliśmy przygotowani do ucieczki, gdybyśmy skierowali się w stronę więzienia. Ale po drodze zmieniliśmy kierunek i okazało się, że prowadzą nas na dworzec

Podzamcze, z którego jechało się na wschód. I znowu jesteśmy w rozterce dokąd jedziemy. Kolejarze nic nie wiedzą, bo to wszystko "wojenno-tajne" jest. Dojechaliśmy do Kowla, zniszczonego, zbombardowanego. Tam znowu pytamy kolejarzy. Powiedzieli nam, że jeśli pojedziemy pod wiaduktem nad torami, to pojedziemy na Chełm, a jeśli na prawo, to znaczy, że jedziemy bardzo daleko na wschód. Kowel to stacja rozrządowa torów była masa, pociąg jechał raz na prawo, raz na lewo, my już szykowaliśmy się do wyskakowania. W końcu pojechaliśmy na Chełm. Dojechaliśmy do Lublina. Zakwaterowali nas w obozie na Majdanku. Przychodzili "kupcy", a my zdawaliśmy bardzo poważne egzaminy ile jest "3x5". Zapisaliśmy się do różnych szkół, oficerskich, żeby stamtąd się wydostać, bo nas tam wszy i pluskwy żarły. Nie przyznawaliśmy się, że należeliśmy do AK, to równałoby się samobójstwu.

Będąc już w szkole oficerskiej dowiedziałem się o masowych aresztowaniach we Lwowie. Przyjeżdżali kolejarze ze Lwowa, którzy mieli swoich krewnych w szkole, więc te wiadomości od razu po całej szkole się rozeszły, szczególnie po naszym batalionie, bo był to batalion lwowski. W początku stycznia równocześnie w ciągu nocy w całym mieście były aresztowania, we wszystkich dzielnicach. Tysiące ludzi wtedy aresztowali. Między innymi był aresztowany mój ojciec i moja siostra. Matki nie było w tym czasie we Lwowie, bo właśnie pojechała coś kupić do jedzenia, więc ona się uchowała. Ojciec z siostrą został wywieziony do Donbasu i pracowali tam w kopalni węgla. Ojciec mój miał w tej kopalni wypadek, Rusek-nadzorca uderzył go łomem po głowie i w stanie ciężkim zawieźli go do łagru. Dzięki lekarzom lwowskim, którzy się nim zajęli jakimś cudem udało się go utrzymać przy życiu, ale już z porażeniem połowicznym przyjechał do Polski z końcem 1946 r. W międzyczasie nim ojciec przyjechał do Lwowa, matka wyjechała ze Lwowa i przyjechała do Krakowa, gdzie mieszkała jej siostra. Później przyjechała do mnie do Lublina, a niedługo ^{po tym} przyjechał ojciec. Siostra moja została w łagrze.

Była tam z żoną prof. Kulczyńskiego. Później p. Kulczyńska przyjechała do Polski, a moja siostra pojechała dalej na Sybir. Przebywała w różnych miejscowościach na wyrębie lasów. Ostatnim miejscem był obóz pod Nowosybirskiem. Wróciła do kraju dopiero w lecie 1947 r.

Anna

*Delcyę nagrod i opowiada
Gwelon Hygiena*